ROMANS I POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 11 marca 1922 roku. № 10.

Juljusz German. Powieść.

10) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Ciemne rojowisko tłumu rozsypało się już, wsiąkło w korytarze ulic. Z opustoszałej jezdni spędzali policjanci nieliczne, biegające bezradnie grupki. Dzwonki tramwajowe dźwięczały zdala dawnym rytmem wielkomiejskiego pospiechu wśród zbliżających się szumnie złotoczerwonych świateł.

— Miało mi się też co przyśnić — szepnął gniewnie. — Na froncie czasem, w nocach bezsennych zwidywały się takie zmory. Cóż za djabeł tak mi nerwy dziś rozklekotał? No, ten dzień liczy się w mojem życiu...

Za kilka minut wstępował na schody teatru, po przetargach z bileterem wsunął się cichaczem na widownię, gdyż rozpoczął się już drugi akt przedstawienia. Stanął u wejścia wpół skryty w fałdach kotary.

Lili nie było na scenie.

Uróżowana, z powiększonemi sztucznie, błyszczącemi głębokim błękitem oczami dziwożony, obnażeniem pełnej i gibkiej szyi i pudrowanych ramion wykwitająca ze zwojów sukni, leżała w fotelu, oddychając ciężko i przyłożywszy mocno obie ręce do piersi.

— Boli — szepnęła z niecierpliwą dziecięcą skargą. — Nie chcę, żeby bolało...

Wsłuchując się w ten ból, który opadł ją znienacka i niby stalową igłą serce raz w raz przeszywał, zebrała całą moc jasnej nadziei, cały oburzony na krzywdę pęd żywotnych sił i rozpędziła nim rozedrganą bojaźń, spadającą w ślepej zasłonie na śmiałe oczy.

— A właśnie że się nie lękam... nie upokorzę! Nad tym nieznanym wrogiem jestem ja...

Jakby ostatnie echo lęku zamajaczyło w myślach mroczne, podstępne pytanie: „Ja? Lecz która? Czy ta, ramami zwierciadła naprzeciw ujęta, maską obcej urody święcąca? Czy ta, której własne ciało, przebite cierpieniem, przed kilku sekundami było czemś nieprzyjaznem i cudzem? Ta z chwili obecnej, której już niema, czy ta ze wspomnienia chwili ubiegłej? Ta z uśmiechem czy ta ze smutkiem niepokoju"?

Uniosła się z krzesła. Słodycz przenikającej świadomości rozpromieniła się w błękicie źrenic: „Ta, która chce kochać, za nową miłością tęskniąca".

Zgodnym uśmiechem odpowiedziały z lustra oczy dziwożony.

Ból blednął, rozwiewał się, jako coś nieistotnego, narzuconego fałszywie.

Więc pewne już spojrzenie zwróciła w ogród wiosenny wrażeń niedawnych, w którym jak świeżym czarem odkryte kwiaty kwitły oczy i usta młodzieńcze, pierwszem zbliżeniem nabożnie gorące.

Przy tej twarzy od zachwytu bladej i skrzącej jak gwiazda, niespodziewanie ze wszystkich na świecie najbliższej, błysnęły w bezbarwnej mgle oczy Bronicza, skupionym promieniem woli twarde, i uśmiech jego, niepokojem rozdarty.

— Skąd razem ich widzę? — pomyślała ze zdumionem jakiemś zawstydzeniem.

Przycisnęła ręce do skroni. Usta jej rozchyliły się wiewem łagodnie przytulnego szeptu:

— Ten twój niepokój ja jedna odgadłam. Szukasz wciąż siebie, siebie prawdziwego. A tamten znalazł, kochając mnie...

Zapukano lekko do drzwi garderoby. Wsunęła się dłoń wywijająca cienkim zeszytem, przyciszony a czujnie ostry głos zawołał:

— Pani Lili na scenę!

Zerwała się, w jednym ruchu, w jednym uśmiechu strząsając z siebie opary zamyśleń. Oczy jej stały się dziecinne i radosne, niewinnym blaskiem jutrzenki swobodne. Przeszła szybko przez wązką sień, otworzyła drzwi umieszczone w płóciennej ścianie. Powiało ku niej przyciemnione różowo światło sceny i dysząca cisza z widowni, kołysana setkami stłumionych oddechów. I jak każdego wieczora, zatrzymała się przez moment—krótszy niż sekunda — na tej granicy między swą rolą a sobą, między grą a ostatnim jeszcze niescenicznym gestem, pojąc się błogiem poczuciem, że wchodzi w krainę nową, w oczekiwanie tysiąca widzów, jak w kąpiel rzeźwiącą.

— To ty!—przywitał ją na scenie melodyjnie drżący głos Żarskiego i z orlej twarzy patrycjusza zaświeciły ku niej żagwią płomiennej uciechy sępie i kuszące oczy.

— To ty! — wstrząsnął się na widowni od tych słów Olszański i gorączkowo spragnionym, szukającym gwałtownie wzrokiem wbił się w białą postać podchodzącą do aktora. Jej to usta całował dziś po raz pierwszy, usta narzeczonej? Ją to miał przy sobie błogosławioną, szczęściem śmiejącą?

Ze sceny padł w tłum głos dźwiękiem pieszczoty kryształowy, wzgardliwy słodką dumą głos mitycznej amazonki, co z rycerza stała się znów dziewczyną:

— Tak, to ja. I cóż? Przyszłam. Pan się dziwi? Wczoraj był balowy wieczór a teraz zwykły dzień o zmierzchu. W tej samej sukni przychodzę co wczoraj i z temi samemi oczyma...

— O, jakże inny ten głos od tego, który przy moich wargach szeptał przed godziną — drgnął Zbigniew bolesnem szarpnięciem mroźnego zawodu.

I zaczął słać na scenę myśli modlitewne:

— Tyle razy widziałem cię tak upragnioną a obcą, tyle razy słyszałem ten głos przejmujący do krwi tęsknotą a daleki. Dziś musisz być inną, dziś koniecznie. Przecież to nasz dzień jedyny, Lili moja...

— Przyszłam, choć pan nie czekał na mnie—szły w jamę widowni dźwięczne słowa aktorki.—Choć może inna przyjść tu miała. Ta, w którejby pan kochał tylko uścisk i więcej nic. O, my wiemy dziś wszystko. Tak, nie dla mnie te kwiaty na stole i nie na mnie czeka to wino. Jestem, bo nie kłamię, jak kłamią naokoło wszyscy. Jestem, bo pański głos nie kłamał wczoraj, bo był przez chwilę, głos męzki, łzą zamglony, żem panu piękna prawdziwie. Prawdę schwytałam, jak cudnego ptaka i z nią do pana przychodzę.

Zbigniew drżał cały, tarpając fałdy kotary.

— Jeszcze przed chwilą, gdym tu stał, czułem na czole jakby lekkie muśnięcie twej ciepłej, słodkiej dłoni. Jeszcze zapach twoich włosów i ramion mam na twarzy, jeszcze do ostatniego ich powiewu się przytulam. Lili, daj mi znak, że mnie widzisz, że czujesz — tchnął w półgłośny prawie szept ekstazy prośbę napięciem wszystkiej woli rozpaczliwą.

Odetchnął. Oczy rozszerzyły mu się nagle zdziwieniem pełnem bezmiernego ukojenia.

W przyciemnionej głębi sceny ujrzał, jak nad złotemi włosami aktorki zabłysła i zgasła w mroku liliowa obrączka, podobna do aureoli anioła na obrazku, który wisiał nad jego łóżkiem dziecięcem, który dziś podczas rozmowy z ojcem z odmętu wspomnień wyrósł mu sennie przed oczami.

— Mów dalej, Lili — szepnął Żarski, nachylając się nieznacznie do aktorki. — Cóż to, zapomniałaś roli?

— Nie—odpowiedziała cicho. — Przerwałam, bo coś dziwnego mi się zdarzyło. Czułam wyraźnie, jak ktoś leciutko, aksamitnie szarpnął mnie za włosy. Stoisz o kilka kroków odemnie, a prócz nas niema przecież nikogo na scenie.

Nikt na widowni nie zaniepokoił się tą kilkosekundową przerwą. Setki oczu patrzyły na Lili z oczekiwaniem. A ona wśród tych setek znalazła już te jedne ubóstwieniem błagalne źrenice i żywiej zagrały harmonijne akordy giętkich, rzeźbionych pieściwie słów, z jej ust na salę płynące:

— Przychodzę z młodością moją, by obudzić ze snu uśmiech twojej młodości. A taką jest bajka: dwa razem złączone uśmiechy nie zginą. Przychodzę z bajką o jasnem życiu. Gdy się obudzisz, nie zniknie...

IV.

GRA Z FANTOMEM.

Za oknami wirowały płatki śniegu łagodnym dobrej bajki korowodem. Z kominka szedł w półcień pokoju czerwony blask.

— Ładna jesteś w tem świetle, Mela — rzekł Bronicz, uśmiechając się życzliwie.

— Nie chcę, żebyś mówił do mnie: Mela, prosiłam już tyle razy — szepnął z niecierpliwym wyrzutem głos kobiecy.

— Więc poprostu: Amelia. Coś białego i powłóczystego jest w tem imieniu. I miłość jakby mistyczna ofiara.

— Bo jest mistyczną ofiarą...

Głos jej osnuł się na tych słowach rozpaczliwym, głębokim akordem. Żar oczu rozbłysnął wilgotniej.

— Nie mów, że jest inaczej. Zostaw we mnie ciche uczucie, że to wszystko jest dziwne. Dziwne, że przed miesiącem, w ten wieczór w Bristolu, poddałam się twemu brutalnemu wezwaniu, że byłam nazajutrz w twej willi pod Konstancinem...

Różowy odbłysk od ognia na kominku rozzłocił się na jej twarzy, której rysy chowały się przed oczami, świecącemi rzewnością zachodu nad czarną samotną topielą, i przed ust, jak malin zroszonych, szkarłatem. Drgnęły lekko szerokie, silne ramiona wiejskiej zalotnicy.

— Że przychodzę teraz tutaj do ciebie... Idę gwarną ulicą, nagle wchodzę do bramy, biegnę spiesznie po schodach i zapada się, niknie wszystko inne...

— Te zamiejskie eskapady były zbyt niewygodne na stałe. A co do mojej brutalności... Kto zaczął? Nie ja pierwszy patrzyłem...

— Bo ten twój uśmiech, spoglądający na ładną kobietę, jak na kwiat z radością. I w oczach ostra czujność, nieustraszona. Ty masz, Rysiu... jak dobrze się nazywasz... oczy człowieka, który idzie przez puszczę z palcem na cynglu broni.

— Wolałbym, żebyś dzisiaj nie mówiła do mnie: Rysiu. Kiedyindziej to mi obojętne. A gdybyś spotkała ten uśmiech i te oczy u jakiegoś szaraka w tłumie, nie byłabyś z pewnością z nim razem, jak jesteś ze mną.

Uniosła się, podparta na rękach, dysząca ciemną różą twarzy i bielą piersi wyniosłą.

— Chcesz powiedzieć...?

— Żebym nie widział tak blisko tej urody, gdybym nie był Ryszardem Broniczem, sławnym przez energię w robieniu majątku.

Dziki, półobłąkaniem szklisty wyraz przerażenia zalśnił w jej oczach. Cofnęła głowę, odgrodziła się od niego wyciągniętemi trwożnie dłońmi. Przygarnął te dłonie, utulił.

— Przecież nie przypuszczasz ani na chwilę, bym myślał, że można cię kupić. To byłoby śmieszne — rzekł miękkim, ujmującym pieszczotliwie głosem, jak do dziecka małego.

— Dusiłaś się w codzienności. Masz odwagę szukania. To piękne. Większość ma ją tylko po pijanemu. Poszłaś za mną, bom był na widoku.

— Poszłam za tobą, boś zawołał mnie mocno. Bo zdaje mi się, że żyję w mroku i lęk mnie zbiera czasem, taki lęk...

Zarzuciła mu ręce na szyję, przylgnęła do niego ruchem gwałtownym i ciężkim, ruchem mołodycy, która na nocną schadzkę z uśpionej chaty mężowskiej w ciszę sadu wypadła i świeżością bujną ciepło drgająca ogląda się, czy wśród drzew kto nie patrzy.

— Bije moje serce przy twojem, słyszysz? A ty mnie nie lubisz. Płacisz ironią za chwile, w których tak bardzo ci się podobam... nie śmiem więcej powiedzieć. Patrzysz z góry... Jestem wtulona w ciebie i znów błądzę. Więc po co jestem przy tobie? Bądź szczery! — dokończyła z żarliwą prośbą.

— Mówię szczerze, że wielbię twoją urodę z prawdziwym zachwytem...

— Nie, to nie to! — szarpnęła się niecierpliwie. — Mógłbyś mieć ładniejszych odemnie, ilebyś chciał. Dlaczegoś wtedy w Bristolu przystąpił do mnie nieznanej? Dlaczegoś prosił tak stanowczo, żądał, bym dziś właśnie przyszła do ciebie, choć telefonowałam, że mi tak trudno i ciężko. Jestem ci do czegoś potrzebna. Nie wiem, do czego.

Opuściła ręce, przymknęła oczy. Twarz jej oblekła się sztywnem zmęczeniem.

— Cóż to było dziś takiego trudnego?

Dalszy ciąg nastąpi.

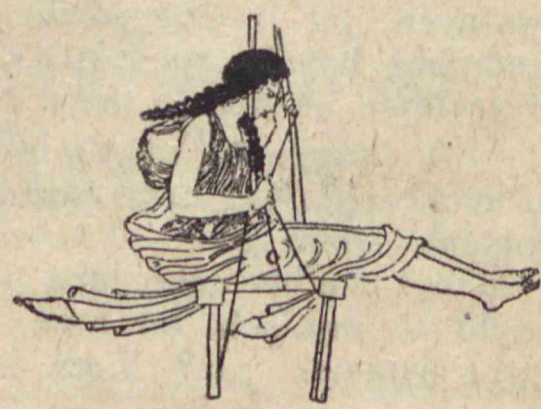

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

5) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Było w wyzywającym sposobie, w jakim wymówił te słowa, coś, co pozwalało odgadnąć, że sam nie będąc pewnym swojej myśli, stara się śmiałem twierdzeniem narzucić ją sobie.

I znowu nastąpiło milczenie jeszcze cięższe od poprzedniego, którego ucisk nieznośny uczuł nawet oficer kozacki.

Wstał i zbliżył się do okna. Było już ciemno. Na placu w świetle latarni widać było gromadę żołnierzy przed maneżem samochodów. Jeden z nich manewrował, aby wjechać do garażu.

Po krótkiej rozmowie o kwestjach potocznych, Spasski i oficer kozacki pożegnali się z Simeonowem. Na ulicy, w chwili rozstania, oficer zapytał:

— A wy, Andrzeju Iwanowiczu, co uczynicie?

— Zostanę jeszcze z jakie dziesięć dni w Piotrogrodzie — odpowiedział. — Ale czy mam się przyznać? Całe życie pragnąłem rewolucji i oto w chwili, gdy mi jest daną, lękam się jej, bo przybywa w pełni wojny i Rosja nie będzie mogła znieść tego podwójnego ciężaru. Według mnie trzeba naprzód zakończyć rachunki z nieprzyjacielem zewnętrznym. Pojadę do armji. Będziemy mieli miljony dezerterów. Jak zatrzymać żołnierzy na froncie? Jak im wytłumaczyć, że muszą jednocześnie bronić Rosji i rewolucji? Może to jest niepodobieństwem. W każdym razie, sprobuję.

IV.

DZIEWECZKA.

Bywały chwile, kiedy Lydja winszowała sobie, że rewolucja wybuchła nie wcześniej, niż ona dorosła, i że mogła teraz śledzić za codziennym rozwojem tego historycznego dramatu.

— Mogłam się była urodzić w epoce spokojnej i płaskiej — myślała — w której nic się nie dzieje, jak to naprzykład miało miejsce z mamą, która nie miała o niczem innem do myślenia tylko o zabawach i strojach. Jakie to musiało być nudne!

I ogarniała ją pewnego rodzaju duma, że oto „żyje podczas rewolucji", że kiedyś, gdy już będzie staruszką, będą ją prosić, żeby opowiadała swoje wspomnienia z tej wielkiej epoki. Nikt o to nie prosił jej rodziców.

Ale, gdy usiłowała wytworzyć sobie jasne pojęcie o tej mającej być tak sławną rewolucji, nie mogła tego dokazać. Czytywała dzienniki, ale te były pełne samych utyskiwań. Według nich dziesięć plag egipskich zwaliło się, wszystkie razem, na nieszczęsną Rosję. I raz po raz wracało wyrażenie: „Rosja stoi nad brzegiem przepaści". Co to znaczyło? Trudno było zrozumieć.

Czasem, położywszy się do łóżka wieczorem, rozmyślała nad tem.

— Można sobie wyobrazić — mówiła sobie — jakąś osobę, jakiś dom, a nawet jakąś wieś nad brzegiem przepaści i osuwające się w nią pewnego dnia. Ale kraj tak olbrzymi jak Rosja, te obszary tysiączno milowe, zamieszkałe przez sto pięćdziesięcio miljonową ludność, jakaż musiałaby to być przepaść, któraby je mogła pochłonąć! Bądź co bądź ziemia zawsze zostanie, a wymordować sto pięćdziesiąt miljonów ludzi to także nie sposób. To może dlatego, że jestem jeszcze zbyt młoda, abym mogła z wydarzeń dnia wyciągać dalekie i potężne wnioski, w których ludzie dojrzali orjentują się tak łatwo.

Tygodnie mijały, przynosząc codziennie bogate żniwo ważnych i zdumiewających wypadków. Rozmowy stawały się smutniejsze, nastrój dzienników coraz żałośniejszy i Lydja czuła się coraz bardziej niezdolną do rozwikłania tego splątanego motka faktów, jakie przynosiły swoim czytelnikom. A przytem wiała z nich śmiertelna nuda.

Rozpoczynać codziennie te same ponure wywody, szukać tych samych pesymistycznych przepowiedni, tych nieskończonych, a sprzecznych wieści, to mogło zniechęcić najbardziej żądny zrozumienia umysł. Lydja zamykała oczy na wszystko, co było wyjaśnieniem, komentarzem, rozumowaniem. Patrzyła na rewolucję jak na widowisko, nie starając się dociec, jakiem będzie jego rozwiązanie. Pod tym kątem widzenia były to dni warte przeżycia.

Ze swemi przyjaciółkami i kuzynkiem Pawłem przebiegała Piotrogród i patrzyła na rozwijające się liście drzew w ogrodach i na czerwone flagi kwiecące sędziwe mury cesarskich pałaców.

W ulicach, wszelka dawniejsza formalistyka była zniesiona i nie pisane przepisy, regulujące prawa i obowiązki przechodniów w miastach współczesnych zniknęły wraz z dawnym rządem. Powierzchowne braterstwo panowało wśród mieszkańców bez względu na uczucia, jakie kryli w głębi duszy ludzie pochodzący z najrozmaitszych warstw społecznych.

Było to rzeczą bardzo zabawne biegać po Newskim, przechodzić od gromadki do gromadki, słuchać mówców przygodnych, gawędzić z przechodniami i żołnierzami. Żołnierze zwłaszcza byli dla Lydji przedmiotem nieustannego zdziwienia. Była w nich ta sama dobroduszność, ta sama wrodzona szczerość i serdeczność, jaką wyczuwała zawsze dotychczas w swem zetknięciu z wieśniakami i robotnikami.

Pozostawieni sami sobie, wielu z nich wróciło w dalekie, rodzinne strony, ale wielu wolało korzystać z przywilejów swobody na stołecznym bruku. Rozjeżdżali się ustawicznie tramwajami, gdyż rząd, aby wynagrodzić marcowych bohaterów, ofiarował im bezpłatny użytek takowych. By zapełnić w sposób zyskowny puste godziny, wzięli się do handlu na otwartem powietrzu, dając, w tych nowych zajęciach, dowody niezwykłego sprytu.

Stojąc po rogach ulic i w bramach, proponowali przechodniom papierosy, mąkę, cukier, kaszę, często zapewne z pułkowych składów; kalosze, wędliny, cukierki, pochodzące z ciemniejszych jeszcze źródeł.

Lydja kupiła od jednego z nich parę balowych pantofelków za siedemdziesiąt rubli, a wieczorem, tańcząc u przyjaciół, mówiła:

— Rewolucja dostarczyła mi doskonałego i bardzo umiarkowanego w cenach szewca. To żołnierz Wasyl z Preobrażeńskiego. Staje na roku Morskiej.

Podżartowywała sobie z kuzynka Pawła, któremu te uliczne widoki nie przypadały tak jak jej do smaku.

— To nie zabawka, Lydjo — mawiał czasem.

I jego dziecinna twarzyczka przybierała poważny wyraz, który pobudzał do śmiechu jego wesołą kuzynkę. Ale ponieważ był młody i zakochany, nie mógł opierać się długo i także wybuchał śmiechem.

* * *

Pewnego dnia udali się do pałacu Krzesińskiej po drugiej stronie rzeki, na końcu mostu Troickiego. Lenin, z cudownym poczuciem inscenizacji, natychmiast po przybyciu do Rosji zagarnął pałac tancerki, sławnej przez cesarskiego kochanka. Z pałacu tego uczynił Mekkę komunizmu, a rząd nie znajdował garści żołnierzy, aby go stamtąd wyrugować.

Lenin przemawiał z balkonu do tłumów, obiecywał im upadek burżuazyjnego społeczeństwa, panowanie proletarjatu i raj na ziemi. W Piotrogrodzie stało się modą uczęszczać na te wynurzenia groźnego przywódcy bolszewizmu, a Lydja była zbyt ciekawą, aby sobie odmówić tak nowego widowiska.

Był to prześliczny dzień w końcu kwietnia. Czyste, błękitne niebo rozciągało się nad miastem, przeglądając się we wzdętych wodach Newy, której wybrzeżem szło dwoje młodych ludzi. Paweł prostował się w swoim junkierskim mundurze i wielkim płaszczu koloru zajęczej skórki. Nie chodziło mu o Lenina, ale o Lydję. Skoroby się tylko wojna skończyła, byłby poszedł za nią na koniec świata.

Był to chłopiec bardzo prostoduszny i w danej chwili bardzo nieszczęśliwy. Dopóki trwała wojna, należało myśleć tylko o niej. Wytworzył sobie o niej mistyczne pojęcie, ona była pierwszym i jedynym obowiązkiem. Ale odkąd wybuchła rewolucja, kto myślał o armji? Armja topniała jak lód na słońcu.

W szkole junkrów wiara krzepiąca dusze znikła i każdy w ogólnym zamęcie oczekiwał zawarcia nieuniknionego pokoju, który rewolucja miała podpisać.

Ale podczas gdy sami oficerowie opuszczali front, Paweł Wołyński marzył jeszcze o walce z nieprzyjacielem. Wiedział, że na południo-wschodzie generał Brusiłow przygotowywał ofenzywę; podał więc prośbę, aby go posłano do jednego z pułków, które miały w niej wziąć udział. Ale czy znajdą się żołnierze, którzy zechcą pójść za swymi oficerami? I Paweł, mający bujną wyobraźnię, widział siebie idącego samotnie po nagich polach ku okopom nieprzyjacielskim, ziejącym nawałą pocisków...

Trzeba będzie opuścić Lydję. Czy zastanie ją po powrocie w Piotrogrodzie? Czy będzie czekała na niego? A bez niej pocóż żyć? Postanowił zadać jej pytanie, od którego zawisło jego dalsze istnienie. Ale odkładał to z dnia na dzień, tak mu się wydawała jednocześnie blizką i daleką, przyjaciółką serdeczną, ale tak obcą uczuciom, które rozpaliły jego serce. Zresztą przedtem musiał uczynić jej pewne wyznanie i postanowił sobie, że zrzuci ten ciężar dziś nieodwołalnie.

Minęli most Troicki i zbliżali się do pałacu Krzesińskiej. Przed fasadą wychodzącą na ogrody, ciągnące się aż do prospektu Kamienno-Ostrowa, zgromadziły się tłumy. Widać tam było mieszczan i robotników, światowców i żołnierzy, wyznawców Lenina i ciekawych. Czerwona chorągiew powiewała nad dachem; dwie inne zdobiły balkon, na którym prorok miał się ukazać ludowi.

Lydja, nie chcąc nic stracić z tego widowiska, przecisnęła się aż do pierwszych rzędów słuchaczy. Miała dar zdobywania miejsca i uśmiechania się do ludzi, w taki sposób, że rozstępowano się przed nią bez szemrań. Paweł szedł za nią.

Jakiś kędzierzawy żyd ukazał się na balkonie i zaczął przemawiać do tłumu. Ktoś obok Lydji nazwał go: Zinowjew. Był to ulubiony uczeń. Wraz z mistrzem i pod opieką cesarskich władz przebył Niemcy przed paru tygodniami. Miał wielką, okrągłą głowę, zdającą się spoczywać wprost na ramionach. Mówił z zawrotną szybkością, jak gdyby zmuszony wypowiedzieć w ciągu dziesięciu minut to, co w innych okolicznościach zajęłoby mu godzinę.

Lydja słuchała go z rozchylonemi ustami, a gdy skończył, zwróciła się zdumiona do Pawła. Nie zwracała żadnej uwagi na to, co mówił Zinowjew, zajęta wyłącznie podążaniem za szybkim biegiem słów, które wiązały się ze sobą w nieprzerwany ani na chwilę łańcuch.

Gdy mówca skończył, dały się słyszeć oklaski w tłumie olśnionym takiem mistrzostwem. Oklaski te wzmogły się nagle. Ukazał się Lenin.

Mężczyzna, stojący na balkoniku, którego poręczy trzymał się obu białemi rękoma, zdumiał Lydję. Była przygotowana zobaczyć jakiegoś potężnego trybuna o rozwydrzonej twarzy, potwora w rodzaju Dantona, którego portrety widywała w historycznych książkach.

I oto miała przed sobą człowieka dobrotliwie uśmiechniętego, o spokojnem, pełnem namaszczeniu obejściu. Ubrany był starannie, miał białą bieliznę i dobrze zawiązany krawat. Cera jego była blada, oczy małe, nieco obrzękłe, wąsy i bródka jasna dobrze wyszczotkowana, a rzadkie włosy były ułożone starannie na łysej czaszce.

A sposób, w jaki mówił, harmonizował z tą powierzchownością. Umiarkowana mimika, żadnych wybuchów głosowych, żadnego z tych olśniewających zwrotów retorycznych, tak drogich mówcom popularnych zgromadzeń, na które tłum czeka i które oklaskuje. Bynajmniej. Tonem równym wypowiedział szereg rozumowań oderwanych, dosyć bezbarwnych, które podkreślał, zlekka zacierając ręce. Był bardzo zwięzły. Zwolennicy oklaskiwali go niemniej przeciągle.

Gdy mijali most, aby wrócić do siebie, Lydja nie ukrywała swego rozczarowania przed Pawłem.

— Więc to jest Lenin? — mówiła. — Czy wydał ci się bardzo groźnym? Wygląda na bibliotecznego szczura. Wyobrażam sobie, że Danton i Robespierre musieli mieć inne wzięcie. Wcale się go nie boję...

Ale Paweł pogrążony w myślach nie miał ochoty do politycznych rozpraw.

Zaprzątało go wyłącznie to, co postanowił wyznać Lydji. Miał w życiu to, co nazywał plamą, i z czego należało się obmyć.

Wstąpił do armji bardzo młodo i wtedy już myślał wyłącznie o wojnie. Na tyłach frontu nie brał udziału w wieczorynkach kolegów, gdzie ta burzliwa młodzież krzepiła sobie nerwy pijąc na zabój wino w towarzystwie kobiet wesołych i łatwych.

Potem został raniony i posłany do lazaretu. Tam, będąc rekonwalescentem dzielił pokój z kilku innymi oficerami. Pielęgnowały go dwie siostry miłosierdzia, obie ze świata burżuazyjnego, które zapisały się do Czerwonego Krzyża.

Jedna z nich nazywała się Anna Pawłówna. Była bardzo elegancka w swojem umundurowaniu, a biały czepeczek, okrywający jej włosy, obramowywał twarz bladą, chudą o pięknych ciemnych oczach.

Paweł zauważył, że te oczy szukały jego oczu i zatrzymywały się na nim długo. Jego koledzy zauważyli to także i podżartowywali sobie często z niego. Te żarty były mu niemiłe; nie odpowiadał na nie nigdy. Z Anną Pawłowną czuł się trochę zakłopotany i był jak z lodu. Gdy opatrywała mu ramię już prawie zagojone, czyniła to z niewysłowioną słodyczą, przedłużając opatrunek, odsłaniając jego chłopięcy tors, bardziej niż było trzeba, i ostatecznie nie wiadomo było, czy się tak nad nim nachylała z pieszczotą czy z pielęgnacją.

DALSZY CIĄG NASTĄPI.